DAŻA
czyli
BAJADERY INDYJSKIE.

(Dokończenie.)

II.

„Sam nie wiem dla czego wspomnienie Daży ciągle mnie ścigało. Naprożno powtarzałem sobie że to tylko prosta dziewczyna, jedna z owych włóczących się bajader; naprożno sam sobie rozmaite czyniłem przełożenia, piłem poncz, rozkazywałem podwajać biegu kurlisom, żułem betel, wynajdowałem coraz nowe niespodziéwanki Duclosowi, lub zażywałem opium: nic nie mogło mnie oderwać od jedynéj myśli co mnie wszędzie ścigała.

„Niemogąc nareszcie dłużéj wytrzymać, gdyśmy przybyli wieczorem do Tunipatnam i już kurlisowie spać się pokładli...., poszedłem do Duclosa.

„Nieoszacowany ten człowiek już właził do swego hamaku, zawiesiwszy go miłośnie w najciemniejszym zakątku nowego karawanseraju, do któregośmy przybyli.

„Nieszczęśliwy Duclos bynajmniéj się niespodziéwał powodu moich odwiédzin; gdyż pokazując mi uprzejmie jak wygodnie umieścił swój hamak, w świéżym i spokojnym zakątku, że aż doprawdy brała ochota w nim się położyć, rzekł zadowolony:

—„Przyznaj pan że wyborną dzisiaj noc przepędzę na tém miękkiém i spokojném posłaniu!

— Doprawdy, nadludzkiéj potrzebowałem odwagi, ażeby poświęcić Duclosa Daży, jednym tchem zniweczyć to szczęście tak dobrze przygotowane: jednak zdobyłem się na tę odwagę, na tę nadzwyczajną odwagę.

„—Jestem w rozpaczy, kochany Duclosie,—rzekłem,—ale wyjeżdżamy natychmiast...., musimy nazad powrócić....

„— Żartowniś z ciebie, kommendancie! —odpowiedział Duclos, jednym skokiem rzucając się w hamak, i z najzimniejszą krwią czyniąc wszelkie przygotowania do spoczynku, poprawiając poduszki, kołdrę.... tak dalekim był domyślać się okropnéj niespodziéwanki co go czekała.

„— Nie żartuję bynajmniéj, panie Duclos, — rzekłem jak najpoważniéj,—wyruszamy.... Oto już kurlisowie przychodzą po mój palankin.... Kazałem i twój przysposobić.

„Duclos mniemał się być owładnięty straszliwym koszmarem.... Wracać nazad!... o téj godzinie!.... wracać!.... wstać!.... powtarzał przerywanym głosem, dotykając sam siebie, aby się przekonać czy nie jest igrzyskiem jakowego omamienia....

„— Tak, trzeba nam udać się w drogę,... i to natychmiast.... Daléj, panie Duclos, trochę odwagi...

„—Ach! dajmyż temu pokój! ja nie myślę puszczać się w drogę.... nie, doprawdy tak nie wstanę! —zawołał nagle tarzając się w hamaku jak potępieniec, i dzikiemi spoglądając na mnie oczyma.

„—Panie Duclos,—rzekłem znowu,— mogłem na chwilę zapomniéć że jestem twoim zwierzchnikiem; teraz rozkazuję ci....

„—Ale proszę pana, i po cóż powracać?

„— Mości panie, samemu tylko admirałowi zdaję sprawę z mego postępowania; powinieneś ślepo mi być posłusznym....

„Duclos ani słowa nie odpowiedział, ubrał się, zdjął z gwoździa swój hamak, wsiadł do swego duli, i postępował za mym palankinem. Aż siny był ze złości.

„Zamiarem moim było napotkać bajadery; Bidda powiedziała mi, że podobnież jak ja udają się do Madrasu. Ponieważ nie było innéj drogi nad tę którąśmy postępowali, byłem pewny że je spotkam; szliśmy też przez całą noc.

„Przybywszy z rana do wioski w któréj spodziéwałem się zastać tancerki, kazałem się zatrzymać nim wejdę do karawanseraju. Przywołałem Duclosa, i aby się go na cały dzień pozbyć, rzekłem:

„Pragnę z duszy zapomnieć nieprzyzwoite twoje wczorajsze obejście się, i dać ci nowy dowód mego zaufania. Wstąpisz na tę górę leżącą ku północo-zachodowi. Weź twój grafometr i cyrkle, — zdéjmiesz najdokładniejszy plan całéj części kraju, leżącéj między północo i południo-zachodem.

„—Ale dla czegóż było wczoraj tego nie zrobić?... i na cóż ten plan?... To dopiéro piérwszy od Wizagapatnam....—odpowiedział Duclos do najwyższego stopnia zadziwiony.

„Krótko a węzłowato przerwałem jego zapytania zwyczajną odpowiedzią: — Admirałowi tylko zdaję sprawę z mego postępowania;—a nieoszacowany Duclos wziął swoje instrumenta, wdrapał się na górę, gubiąc się w domysłach coby mnie znagláło powracać nazad, jedynie aby zdjąć plan Jaffanapatnam.

„Udałem się potém do karawanseraju długą ulicą sadzoną kokosami, ocieniającą piękny staw cembrowany, w którym kąpało się mnóstwo ludzi, a między innemi, na samym końcu, mała kupka kobiét.

„Nagle przenikliwy krzyk wydarł się z téj grupy; przypatrzyłem się kobiétom uważniéj, i poznałem Dażę, moją tancerkę w żółtym gorseciku, która kąpiąc się z towarzyszkami, tylko co wyszła z wody, gdyż miała jeszcze na sobie rogożową zasłonę.

„Poznała mnie biédna dziewczyna. Dałem jéj znak aby się zbliżyła; owinęła się w wielką płachtę, z białéj utkaną bawełny i przybiegła cała zawstydzona.

„ — Dażo, przybywam jedynie dla ciebie, —rzekłem—i po ciebie.... Czy chcesz pójść ze mną?

„Podniosła na mnie wielkie swe czarne oczy, nie śmiejąc zrozumiéć.

„—Czy chcesz, Dażo?

„—Z panem?....

„—Tak jest, Dażo, udać się ze mną do Madras....

„Wówczas biédna dziewczyna, cała drżąca, nie mając siły odpowiedzieć, spojrzała na mnie z zachwyceniem, mocno obie ręce przycisnęła do serca i skinęła głową iż zezwala.

„Wróciłem do Madras z dobrym Duclosem; przyniósł mi plan wiernie zrobiony, sądząc iż jakiś ważny dyplomatyczny cel przywiązany jest do palankinu, gdyż ani domyślał się co w nim się znajduje, przypuszczając jedynie, iż plan przez niego zdjęty podczas słonecznego upału, musi mieć z nim jakiś stosunek.

„Nieoceniony ten człowiek zapomniał wreście o naszym cofającym się pochodzie. Tylko pewnego wieczora, pokazując mi szklankę którą niósł do ust, odezwał się: — Gdyby mi teraz kto powiedział: Spodziéwasz się wypić tę szklankę araku, a potém położyć się, nieprawdaż panie Duclos? Otóż nie,... musisz pójść zmierzyć pagodę w Mehemonpa, o dwanaście mil ztąd odległą. Odpowiedziałbym mu wówczas: To by mnie bynajmniéj nie zadziwiło...

„— I miałbyś wielką słuszność, — rzekłem Duclosowi, który jednakże tą razą wypił swoją szklankę araku, i przepędził noc, jak zamyślił, na spoczynku; bo odkąd Dażę posiadałem, jużem nie czynił niespodzianek memu towarzyszowi.

III.

„Przybywszy do Madras zdałem sprawę admirałowi z mego polecenia; zerwałem niektóre towarzyskie stosunki, jakiem miał w mieście białych, a nawet i w mieście czarnych, aby wszystek czas mój poświęcić Daży.

Nająłem dosyć obszerny dom, z gęstym i cienistym ogrodem, w którym był staw, przezroczysty jak kryształ: w tym to lubym pobycie umieściłem Dażę.—Szczególniejszym zdarzeniem pozostała ona nieskażoną śród téj włóczącéj się truppy. Przystała do niéj od sześciu dopiero miesięcy; dotąd żyła przy matce. Lecz śród jednéj z owych niezliczonych wojen, co Karnat niszczyły, matka jéj została zabitą, zburzono szczupłą jéj posiadłość, i aby zarobić na życie, musiała złączyć się z daatszerjami. Dopókąd mnie nie widziała, milczało jéj serce; przemówiło teraz, i naiwnie mi to wyznała.

Biedna dziewczyna nie znała żywéj duszy w Madras, nie wychodziła nigdy; ubiór jéj składał się z ob-

szernych bawełnianych szlafroczków; spała, podług krajowego zwyczaju, na macie rogożowéj; jadła nieco ryżu zgotowanego w opieprzonéj wodzie i żuła betel; żyjąc istotnie lenistwem, kąpielą, miłością i słońcem. Ach! gdybyś wiedziała, Jenny, co to za roskosz była dla mnie, przy wschodzie jutrzenki, gdy białe kwiaty lotosu nie rostworzyły jeszcze swych kielichów, a stada papug i czapli nie podniosły się z gniazd swoich; co to za roskosz była iść z Dażą na brzeg spokojnego stawu, zanurzać się w jego świéżych i milczących nurtach, widzieć szybkość i zręczność mojéj Indyjanki, zaledwie muszczącéj pływając jego powierzchnię! widzieć wodę spływającą w srebrystych kroplach, po jéj brunatnéj i smukłéj kibici!..."

„Po kąpieli szedłem na mój okręt, i powracałem dopiéro wieczorem. Wówczas, rozciągniony na macie, paląc huka, przypatrywałem się tańcom Dażyr..., albo śpiéwała mi krajowe swoje piosnki, łącząc głos swój dźwięczny z harmonijném brzmieniem *pchy*, czyli trzy-strunnéj gitary.

„Niekiedy opowiadała mi wypadki swego dzieciństwa, mówiła o swych bożyszczach, swéj naiwnéj wierze, o dziwnych zwyczajach swéj krainy; byłato pełna zajęcia rozmowa; drażniła moję ciekawość, nie zaspakajając jéj nigdy zupełnie.

„Czasem, wedle indyjskiego zwyczaju, zadawała mi zagadki, wynajdując jakie tylko mogła sposoby, aby mi czas umilić. Potém przyrządzała ryż i czarę wody aromatycznéj z sokiem mologanu, i wesoło podzielaliśmy skromną tę ucztę."

„A że Daża nieskończenie mnie bawiła, a towarzystwa madraskie śmiertelnie nudziły; że kobiéty były w nich podobne do wszystkiego i do niczego zarazem, nieposiadając ani naturalnéj prostoty, ani wdzięków, ani oryginalności; że mówiły mi tylko o tém, co daleko lepiéj od nich wiedziałem; że na nieszczęście dosyć jest zawsze czasu powrócić do cywilizacyi, to jest do sznurówek, rużu i nudzącéj kokieteryi, zupełnie byłem zadowolony z mego sposobu życia, nie

znając przez trzy miesiące ani chwili znudzenia, chociaż nie widziałem żywéj duszy prócz Daży.

Pewnego dnia gdym jéj obiecał zawieść ją morzem o kilka mil od Madras, dla zobaczenia sławnéj pogody, dla przyczyn, które bardzo dobrze pojmujesz, nie chcąc wziąć szalupy okrętowéj, nająłem czółno mające przewieść Dażę, mnie i starą mulatkę, którą do usług swych przyjęła. Przybyliśmy nad brzeg; czółno już czekało, a w nim randel czyli sternik, i sześciu wioślarzy. Wsiedliśmy, i rozkazałem odbić na morze.

„Zaledwieśmy byli o dwadzieścia sążni od brzegu, gdym postrzegł że przeklęte czółno nadzwyczaj było przeładowane; gdyż zaledwie sześć cali wystawało nad wodę.

„— Łotrze, — rzekłem przysuwając się do sternika,— dlaczegożeś tak przeładował to czółno, i nieuprzedził mnie o tém? Wracaj natychmiast do lądu, lub ci łeb tém wiosłem rostrzaskam....

„— Bóg jest wielki,—odpowiedziało mi owe bydle z najzimniejszą krwią.—Lecz chociaż Bóg jest wielki już było zapóźno; wpłynęliśmy pomiędzy fale rozbijające się o podwodne skały. Pierwszy bałwan uderzy o przód statku i napełnił go do połowy wodą. Niegodziwe czółno tak było ciężkie, iż chociaż sam usiadłem przy sterze, niepodobna było nim kierować. Powtórny bałwan zalał nas zupełnie.—Nie było ani chwili do stracenia.—Za mną, Dażo,—rzekłem do Indyjanki rzucając się w morze, zupełnie o nią spokojny, gdyż pływała jak Dorada.

„Zaledwie uczułem się w wodzie, gdy nowy bałwan z hukiem przetoczył mi się przez głowę; dałem nurka, i silném uderzeniem nogami znowu wypłynąłem na wierzch wody; zdala już tylko postrzegałem czółno i wiosła, a obok siebie ujrzałem Dażę; krzyknęła radośnie i poskoczyła ku mnie, mówiąc abym się oparł na niéj, jeśli jestem strudzony.... Podziękowałem jéj, ofiarując przeciwnie własną pomoc, i radząc aby płynęła za mną, dla uniknienia raf ukrytych pod wodą; zgruntowałem bowiem to wybrzeże, i znałem je tak dobrze jak mój pokój.

„Tak płynęliśmy przez kilka minut, śmiejąc się z naszéj przygody; gdyż brzeg o trzysta już tylko kroków był przed nami.

„Nagle uczułem się pociągnięty na dno ogromnym ciężarem; dałem nurka chcąc zobaczyć co to takiego: była to stara mulatka; przyczépiła mi się do nogi, chwytając co mogła; dobiła się aż do nas, płynąc pod wodą na pół umarła.... Było to jéj konanie. Niepodobna już jéj ocalić: starałem się przynajmniéj jéj pozbyć. Żadnym sposobem. Zdołałem zaledwie raz jeszcze wznieść się po nad wodę, i zawołać: — Dażo, na pomoc!...

„Dobra ta istota, przestraszona, przybyła co prędzéj, rozkazując oprzéć się obydwoma rękami na swych ramionach, gdy tymczasem sama nogami tylko będzie płynąć. Uczyniłem co kazała; gdyż przeklęta mulatka nie popuszczała mnie ani na chwilę, i najmniejszego nie mogłem zrobić poruszenia. Daża rzucając się gwałtownie, zwolna się posuwała, krzycząc o ratunek.—Gdy nagle potępiona mulatka, w ostatnim skonie ugryzła mnie w kolano, a to poruszenie oboje nas z Dażą na dno pogrążyło.“

„Mocno już osłabiony, zemdlałem; a bałwan unosząc mnie, jak się zdaje, rzucił na ukrytą pod wodą rafę i zrobiłem sobie ranę w głowie.

„Po piętnastu dniach dopiéro do zupełnéj wróciłem przytomności: leżałem w wojskowym szpitalu.

„Obok mnie był dobry i nieoszacowany Duclos.—

„— Ach! przecie! — zawołał, widząc że otwiéram oczy.—Jakże, czujesz się pan zdrowszym?... Pięknegoś nas nabawił kłopotu...„

„Czuję się bardzo słabym,— odpowiedziałem, starając się zgromadzić moje wspomnienia... A Daża?

„— Któż to taki, Daża... czy pies?

„Pohamowałem uniesienie gniewu i niecierpliwości.

„— Czy wiész, panie Duclos, gdzie jest służący mój, Fryderyk?....

„— Wyszedł, powróci za godzinę.

„—Za godzinę..., Jakże to długo! Będę czekał....

„—Zdaje mi się że pan będziesz czekał!... Ba! to już nie będzie tak jak w owéj przeklętéj podróży, gdyś mi się ustawnie kazał włóczyć tam i sam, i nigdy nie mogłem być pewny że się wyśpię w nocy, chyba nazajutrz kiedym się przebudził... Jak wtedy naprzykład, kiedy zdéjmowałem ów plan Jaffapatnamu...., czy też pan o tém jeszcze pamiętasz?

„—Co tam słychać nowego, panie Duclos?—spytałem, chcąc oddalić wspomnienie tak przykre w stanie niepewności w jakim zostawałem o los Daży.

„— Ach! przewyborną wiem historyjkę; ani sobie pan wyobrazisz; obiega wszystkie salony. Oto, wystaw pan sobie, jeden z oficerów naszéj dywizyi, utrzymywał sobie młodą Indyjankę... Bardzo dobrze. To jest, kiedy mówię bardzo dobrze, to nie dlatego żebym chciał powiedzieć, że ją bardzo dobrze utrzymywał, to do mnie bynajmniéj nie należy;—to tak sobie tylko nawiasem czynię uwagę.... Bardzo dobrze.— I tak go usidliła, że zaprzestał bywać we wszystkich towarzystwach, a damy powiedziały pomiędzy sobą: Trzeba odzyskać tego ładnego chłopca, co największym był powabem i ozdobą naszych zabaw; a żeby go odzyskać, trzeba mu wypłatać figla.... Ale pan nie wiesz jakiego mu figla zrobiono? Zgadnij też!

„—Mówże.... mów...—I jak śmierć byłem blady, bo niepojęte i straszliwe jakieś przeczucie serce mi rozdzierało.—Duclos mówił daléj:

„— To jest figla, nie jemu..., ale dziewczynie.... Oficer, którego nie znam, na honor, był chory... I cóż robią?— Oto powiadają dziewczynie: Kochanek twój umarł, przestań o nim myśléć i powróć w twoje strony, moja piękna z miłemi oczyma....

„I któż to uczynił!... Duclosie?... —zawołałem na wpół wyskakując z łóżka...

„—Doprawdy tak nie wiem tego; ja nie bywam po towarzystwach, i od naszego płatnika dowiedziałem się o téj historyi... Kto to uczynił? Może te panie i ci panowie, co chcieli odzyskać oficera, który tak powabnym był chłopcem. W tak nędznem mieście jak Madras, nic dziwnego przywiązywać cenę do dobrego towarzystwa... Ale to jeszcze nie wszystko.

„—Jakto! nie wszystko!...—I zdawało mi się że śnię, mówiąc do Duclosa; słuchałem go machinalnie...

„—Nie... Otóż głupia nasza dziewczyna uwierzyła w to... patrzno pan tylko jak to daleko może zajść fanatyzm i zabobon u téj ciemnoty... Otóż głupia nasza dziewczyna uwierzywszy w to, a wiedząc że nie będzie mogła pozyskać ciała kochanka, którego sądzi umarłym, bo w naszéj religii nie jesteśmy tak szaleni aby się palić jak oni, i cóż czyni opętana dziewczyna? zgromadza wszystkie rzeczy które miała od oficera, robi z nich stós, pewnego dnia... pali się na nim, przy śpiewach swoich kapłanów, zachwyconych z tego szaleństwa, bo to szaleństwo coraz rzadszém się staje.

„Oto prawie wszystko com usłyszał, gdyż okropne porwało mnie drżenie,— zimny pot oblał moje ciało... Zdołałem tylko wykrzyknąć: Daża! i zemdlałem!!...

Teraźniejsi Poeci Sceniczni Francuzcy.

(Dalszy ciąg.)

IV. WIKTOR HUGO.

Wiktor Hugo wzniósł się przez liryczność do teatru i do romansu. Pokazuje się to z jego trzech pierwszych dramatów, które napisał dla sceny; są one bardzo blisko spowinowacone z cechą liryczną. W *Kromwelu*, jeszcze pierwéj napisanym, ale nigdy nie przeznaczonym dla sceny, wprawdzie okazuje się wiele długich miéjsc lirycznych, ale główną cechą całéj sztuki jest dziwactwo. Zaś w „*Marion Delorme*, *Hernani* i w *Le Roi s'amuse*" liryczność ma obszerne dla siebie pole. Był to ważne i godne pochwały doświadczenie, nadać tym sposobem drammatycznemu ciału tak liryczno kwiecisty koloryt, ważne dla literatury, lecz nie dla teatru. Drammat przepełniony duchem lirycznym, nie sprawi na scenie żadnego wrażenia, a na nim wszakże wiele zależy. Teatr bowiem

jest niczém, jeśli nic nie działa na widzach. Miłośnik piękności w literaturze, zawsze dziękować będzie poecie za te jego trzy utwory. Piękny to i czarowny widok, gdy myśl liryczna wznosi się w kształcie światłokręgu, roztacza barwiste promienie i obleka swém światłem postacie, które wyobraźnia poety ustawiła w koło. Ale ta świetność nie jest zapałem, ani koloryt z wierzchu postać oblewający nie jest życiem. Myśl liryczna nie może tak władać osobami drammatu, jak artysta muzyczny swojemi instrumentami w orkiestrze. Skoro poeta tworzy osobę, charakter, trzeba mu zostawić swobodę w udziale, a ta swoboda nie może się rozwinąć w iednostajności postaci lirycznych. Już to jest naturą myśli lirycznej, że nie jest zdolną do żadnéj przemiany (metamorfozy), ale zawsze wraca wgłąb swojego pochodzenia; choć poeta zechce ją rozczłonkować i jéj części rozdzielić między osoby drammatu, jednakże przez to ona bynajmniéj nie zyska na kształtności, co wszakże jest wymaganém w utworze drammatycznym. Wzruszenie liryczne nigdy nie sprawi drammatycznego wrażenia.

Marion, *Hernani*, *Triboulet*, pana *Hugo*, z pochodzenia są to myśli liryczne, chcące uchodzić za żywe osoby drammatyczne. Ta dworzanka, ten bandyta, ten trefniś królewski, mało o to się troszczą co z niémi się dzieje w dramie. Nie wchodząc do intrygi, mowy pełne obrazów głównie ich zatrudniają. Słuchają siebie samych z zadowoleniem, cała ich baczność jest zwróconą na świetny sposób wyrażenia swoich myśli i uczuć, a nie na wewnętrzny, energiczny bieg rzeczy. Spiewaią ciągłą odę o swojéj namiętności, ale z ich istoty i czynności nic tego poznać nie można. Zarzut ten jednakże mniéj się tyczy *Marion Delorme*, niż *Hernaniego;* widać, że *Hernani* był pierwszym i najdzielniejszym rzutem myśli lirycznéj naszego poety drammatycznego. W *Triboulecie* ustępuje liryczność nowéj zasadzie drammatycznéj, podług któréj *Hugo* od tego czasu pracował; lubo, że w swojéj przedmowie do *Kromwela*, i w innych miejscach, gdzie rozwija swój rodzaj poezyi bynajmniéj o tém nie

wspomina. Zasadą tą jest antyteza. Pierwszy ślad onéj okazuje się już w charakterze *Hernaniego* i w *Marion*, jest to mocny i czysty napój w pozornie brudném naczyniu, dyament w złéj pokrywie, nieskazitelność duszy w grzeszném ciele, szczytność moralna w stanie na pozór oburzającym. Lecz jeszcze śmieléj, jeszcze silniéj okazuje się późniéj w *Triboulecie*. Poeta widocznie zamierzył duszę Sokratesa przywdziać w suknie trefnisia, i tak ją drammatycznie objawić. Wprawdzie ta dramma upadła, lecz autor bynajmniéj nie ustał w gorliwości dla swojéj nowéj zasady; z resztą od dawna to wiadomo, że P. *Hugo* niesłucha niczyjéj rady, ale idzie za swojém własném widzi mi się.

Równie jak z początku chciał pomysł liryczny zamienić na postać drammatyczną, tak też chciał zasadę antytezy przywieźć do drammatycznego znaczenia. Cóż więc utworzył na téj drodze, cóż nam przedstawia w swoich trzech ostatnich drammach: *Maryi Tudor*, *Lukrecyi Borgia* i *Angelo*? w pierwszéj widzimy rusztowanie w sypialni królowéj; w drugiéj widzimy aż do nieskończoności wystawioną sprzeczność między miłością matki, między zbrodnią w sercu pogardzonéj niewiasty, któréj łoże skazili jéj ojciec i bracia. A na koniec w *Angelo*? sprzeczność między powinnością a namiętnością: widzimy z jednéj strony wiarę małżeńską, z drugiéj pewny rodzaj nędznego, szalonego rozdwojenia ciała i duszy, przy którém pierwsze zostaje splamione, druga zaś czystą; z jednéj strony niewinną, posłuszną, cierpliwą małżonkę, z drugiéj zalotnicę, która się zaprzedała człowiekowi, śmiertelnie przez nią nienawidzonemu, a za to odmawia darów miłości człowiekowi istotnie przez nią ukochanemu. Takie to dziecinne i gwałtownie porozdzielane antytezy upodobał sobie *Hugo*, i utrzymuje że utworzył wcale nowe i wielkie charaktery drammatyczne. Ztąd wynika ów daleki i opłakany przedział, gdy porównywamy trzy ostatnie drammy p. *Hugo* z jego trzema pierwszemi. Gdyż naprzód sama zasada antytezy, jakkolwiek dzielnie doprowadzona do skutku, w porównaniu z prawdzi-

wą, głęboką myślą liryczną, okazuje się bardzo lichą, powierzchowną. Powtóre, prawo antytezy, któremu *Hugo* hołduje, dla swojego drammatu, jest samowolne, kapryśne i niebezpieczne. Ono wiodło go z obłędu co raz w cięższe obłędy. Chcąc wszelkiemi siłami sprawić wrażenie na widzach przez sprzeczności, a wiedząc że iednostronne okazywanie antytezy wewnętrznie nie wzrusza, ani wzruszać może, chwyta się środków pozornych, przez które taż antyteza zostaje wystawioną zmysłom publiczności w sposób nader uderzający. Dla tego baczy, aby na scenie tylko przedstawiać ciemne więzienia obok świetnych pałaców, wór i popiół obok zbytkowego przepychu, grubą sukmanę obok axamitów i jedwabiu. Dekorator, maszynista, krawiec teatralny musieli mu przyjść w pomoc, aby antetyzę urzeczywistnić i jasno wydać. Czego też on się poświęca dla sztuk swoich! ile też nie marnotrawi dla przepychu kolorów, dla zewnętrznego pozoru, dla tajnych schodów i podwoi, dla złoconych kolumn, dla dyademów, naszyjników i zbroi! Najbogatszy dwór monarszy nie może się szczycić takim przepychem. Mimo to wszystko nie zdołał zjednać sobie publiczności, ani jéj przywiązać.

Jeśli jego pierwsze drammy liryczne nie były zgodne z naturą drammatu, świadczyły jednak o pięknéj poetyckiéj dążności, i dla tego światli przyjaciele literatury nie mogli mu odmówić swojego zadowolenia. Zostawał w obłędzie, ale walczył i dążył z honorem naprzód; duch poetyczny i treść jego utworów zyskały pochwały mimo niestosownego drammatycznego kształtu, a jeśli dosięgnął rzeczy niepodobnych, tedy dopiął tego drogą i środkami przez sztukę dozwolonemi. Wówczas każdy choć się nie zgadzający ze zdaniami pana *Hugo*, musiał szanować jego przekonanie i dążność. Teraz zaś omamienie zawiodło go w krainę, którą prawdziwa literatura wstydzi się przyjąć do swojego państwa i jego duch liryczny zstąpił z wysokości na deski sceny i tworzy, dla napastwienia oczu gapiącego się tłumu, dzieła sztuki z antytezyą, efekt

teatralny, z świetnemi lalkami i dekoracyami. Jego dawni szczerzy przyjaciele widzą go zatém na téj drodze bez nadziei. Po *Lukrecyi Borgii* poznano, że dawne nadzieje spełzły; a po *Angelo*, zdaje się, że już na przyszłość *Hugo*, jako drammatyczny poeta, potępionym został.

(Dokończenie nastąpi)

OLE-BULL.

(z Berlińskiéj Teatralnéj gazety.)

Ole-Bull, Norwegski skrzypęk, północny Paganini, zadziwił Londyn roku zeszłego. Druga połowa jego nazwiska nadaje mu niezaprzeczone prawo do gościnności Albiończyków, do współobywatelstwa nawet gdyby tego zapragnął. Ole-Bull jest Norwergczykiem, a chociaż lodna ta kraina mało zdaje się być sposobną do rozwinięcia sztuk nadobnych południa, Ole-Bull jednakże jest może jedynym artystą przypominającym nam Paganiniego. Ole-Bull muzykalne swoje wiadomości sam sobie prawie jest winien; miał może zaledwie lat ośm, gdy uczuł obudzającego się w sobie ducha melodyi. Rodzice chcieli aby został duchownym lub poświęcił się prawu, przeniósł jednak skrzypce, i w dwudziestym roku życia postanowił los swój powierzyć dobréj swéj gwiaździe i temu muzycznemu narzędziu. Dziwne prawią powieści o niedostatku z którym musiał walczyć. Artyści to mają wspólnego z poetami i sławnemi ludźmi, iż z ich biografii romanse tworzyć można. Ole-Bull wraz z cholerą przybył do Paryża, wówczas milczeniem i żałobą okrytego. Pewnego dnia, wróciwszy z melancholicznéj przechadzki po mieście, w którém same tylko pogrzebne mary i żałobników spotykał, nie znalazł artysta ubogiego swojego tłomoczka w gospodzie; złodzieje nie uszanowali nawet skrzypców jego. Przez trzy dni biegał w rozpaczy po ulicach, czwartego skoczył w Sekwanę, szczęśliwie jednak wyratowanym

został. Znowu do życia wrócony, Ole-Bull miał z razu jak najszczuplejsze utrzymanie; przedał ostatnią koszulę aby usłyszyć Paganiniego; usłyszał, i usiłował naśladować go. Nadeszła znowu pora koncertów; dał koncert, zebrał 1,200 franków, i ujrzał się na drodze do szczęścia. Udał się do Włoch, ale ta klassyczna kraina muzyki obojętnie go przyjęła. We Florencyi byłby Ole-Bull umarł z głodu, gdyby nie zjawiła się pani Malibran i pan Beriot by dać koncert w tém mieście. Stanęli przypadkiem w téj saméj oberży gdzie mieszkał Ole-Bull. W tém nagle pan Beriot zasłabł. Pani Malibran, usłyszawszy od gospodarza o Ole-Bullu, zaprosiła go aby grał w miejscu Beriota. Dał się słyszeć, i wszystkich w najwyższe wprawił podziwienie. Odtąd sława jego po całych rozeszła się Włochach. Z niewymownym zapałem przyjęty został w wielkim teatrze *San Carlo* w Neapolu, i dziewięć razy tenże koncert musiał powtórzyć. Ole-Bull ma teraz lat 25; tak do złudzenia naśladuje Paganiniego, iż nie widząc go, niepodobna odgadnąć któren gra z nich dwóch.

TEATRY WARSZAWSKIE.

(*Z Gazety Warszawskiéj Nr.* 111.)

Ver-Vért. Komedyo-Opera w trzech aktach z francuzkiego pp. *Leuven* i *Desforges*, tłomaczona na polskie, przez *Szukiewicza*, przedstawiona pierwszy raz w Warszawie na Teatrze Rozmaitości, dnia 23 Kwietnia 1838 r.

Komedyo-operze Ver-Vert, dano jeszcze i drugi tytuł, zapewne dla zwyczaju, *Natura ciągnie wilka do lasu*, a zatém szanując zwyczaje, nie będziemy się rozwodzić nad tego drugiego tytułu stosownością. Co do saméj sztuki, wzięta i zręcznie ułożona z znanéj powieści Gresseta, wystawia nam pieszczonego wpośród licznéj pensyi panien młodzieńca, który w jednéj i niedługiéj podróży dyliżansowéj, nauczywszy się od młodych i wesołych oficerów kochać i pić szampana i nabrawszy męzkiego tonu, powraca do ciotki, ochmistrzyni pensyi, przestrasza zrazu śmiałą swą żywością dawne towarzyszki, wprowadza na pensyą oficerów, jednemu małżonkę wydaje, drugiego łączy z przedmiotem jego miłości, i sam oświadcza się swéj ulubionéj.

Sztuka ta pełna jest wesołości; uważano w niéj wiele dowcipu, niekiedy zręczne dwuznaczności. Główną rolę Ver-Vert oddała panna *Daszkiewicz* z całą żywością i dowcipem talentu, ktory ją zdobi. Była piękna w ubiorze młodzieńczym; w akcie pierwszym widzieliśmy ją bardzo miłém dzieckiem, w drugim i trzecim lekkim, przebiegłym i pojętnym młodzieńcem. Wyrażenia śmielsze umiała oddać naturalnie, z przystojnością, a zarazem i figlarną naiwnością. Pani *Kostecka* w małéj roli pod-guwernantki, pan *Baraniecki*, w roli nauczyciela tańca, okazali nowe dowody znamienitych talentów, jakie w nich zawsze publiczność ceni. Wykonanie tańca w akcie pierwszym przez nadobne grono młodych wychowanek szkoły baletu, i piękna gruppa rozpoczynająca akt trzeci, dodają wiele powabu téj komedyo-operze. L.

KONCERT PANA LEWY.

(z GAZETY WARSZAWSKIEJ Nr. 117.)

(*Dany dnia* 1 *Maja r. b. w Wielkim Teatrze*)

Koncert waltornisty pana Lewy, choć połączony z widowiskiem teatralnym, nie wiele sprowadził publiczności. Może dla tego że pan Lewy, mało u nas był znany. Nie wiele się więc spodziewano, lecz w pierwszych zaraz taktach, pan Lewy całą publiczność na swoją przeciągnął stronę. Jest to artysta, w całém znaczeniu wyrazu. Wydoskonalona przez niego Waltornia z *ventillami*, tę ma dogodność, iż nie potrzeba za zmianą tonu zmieniać przystawek. Pierwsze *pot-pourri*, piękne i stosownie dobrane, wzbudziło powszechne oklaski. Chór Webera z echem, (z *Preciozy*) wydał pięknie i ogólne sprawił wrażenie. W *allegrach* nie tyle pan Lewy był szczęśliwym. W tenczas u niego waltornia wraca do swojéj naturalnéj twardości, i okazuje się w ubóstwie. Drugie *co kto lubi* mniéj zadowoliło, choć zawsze w *śpiewie* gry jego, ta sama lubość, ta sama miękkość i uczucie panowały. Mam nadzieję, że pan Lewy częściéj da się słyszeć na naszéj scenie, i nie wątpimy o tém, przed liczniejszą jak wczoraj publicznością.

ROZMAITOŚCI.

POMNIK DLA MOLIERA

(*Revue et Gazette des Théâtres*)

Wiadomo czytelnikom naszym iż piękny pomysł wzniesienia pomnika Molierowi coraz dojrzewa i już blizkim jest urzeczywistnienia. Jeżeliby nas co w téj mierze zadziwiać miało, to bez wątpienia jedynie ta okoliczność, iż Francuzi tak dumni dramatyczną literaturą swoją, dopiero w półtora wieku myślą o jawnem wynurzeniu narodowéj wdzięczności, tak świétnemu słońcu sceny swojéj, pierwszemu i prawie jedynemu komikowi Europejskiéj literatury. Przychód ze składek otworzonych w tym celu wynosił w dniu 22 Kwietnia tylko 12,705 franków. Zaprawdę wdzięczność francuzka niezbyt się hojną pokazała! Powinniby Francuzi pamiętać że wzniesieniem pomnika dług tylko wypłacają, dług od dawna ich sumienie obciążający, powinniby pamiętać że tego aktu świetnéj sprawiedliwości, téj ofiary błagalnéj cieniom Moliera, nie sama Francya, ale cała Europa, cały świat umysłowy głośno się domaga. Niedawno spory o to się toczyły, czy posąg Moliera może być na placu publicznym wzniesiony. Dzienniki ministerialne ze sknerstwem, z ciasnością widzenia zupełnie budżetową opierały się temu, niepomne że pomnik wdzięczności publicznéj wielkiemu mężowi skąpym groszem i w cieniu, jakby ze wstydem wzniesiony, śmiesznością raczéj niż chwałą pokrywa.

WYLICZENIE.

Teatrów Angielskich które się stały pastwą płomieni.

Covent-garden, zbudowany w r. 1733 zgorzał w 1808, odbudowany znowu 1809. — *Drury-Lane*, zbudowany 1662, spłonął 1674; zrucony w 1791, z gruzów wzniesiony 1794, spalił się 1809, znowu odbudowany 1812. — *Kings Théâtre* wystawiony 1704, spalony 1789, odbudowany 1791. — *Astley's*, wystawiony 1780, zgorzał 1794, odbudowany 1795; zgorzał powtórnie 1803, znowu odbudowany 1804.— *Surey*, dawniéj *Cyrk*, zbudowany 1792, zgorzał 1805, odbudowany został 1806. — Zawalenie się teatru w *Brunszwiku* i pożar *Angielskiéj-Opery*, są jeszcze w pamięci wszystkich. Piętnaście lat zaledwie jest temu jak teatry w *Glasgowie* i *Birmingham* zgorzały.
